



# WIENIEC

## PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

### WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

**Prenumerata w Warszawie:**  
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:  
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,  
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach  
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.  
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**  
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi  
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycja główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego  
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-  
talnie florenów 5 cent. 5.  
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanichd pożytecznych, kwartalnie  
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.  
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,  
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

## STOSUNKI DOMOWE I SPOŁECZNE.

W XIII WIEKU.

przez Wł. Chomentowskiego.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 102)

Ogólny widok kraju. — Włości, zamki i kościoły. — Najpospolitsze źródła przemysłu i dochodów: myślistwo, rybołówstwo i pszczolnictwo. — Przyczyny zmian w ustawodawstwie i w urzędzeniach kraju. — Kupna i zamiany majątków. — Przywileje i jurysdykcja patrymonialna panów. — Zabytki dawnego obyczajowego prawa. — Powstawanie osad na prawie niemieckim. Panowie i sołtysi. — Szlachta i kmiecie.

kolei wypadnie wspomnieć o źródłach naszego przemysłu w XII i XIII wieku.

Napomknęliśmy wyżej, że przestrzeń niezaludnionego dostatecznie kraju przedstawiała mnóstwo lasów, rzek i lasów. Owóż w podobnych warunkach, najważniejszymi źródłami przemysłu i dochodów było: polowanie na dzikiego zwierza, łowienie bobrów i ryb, jako też pielęgnowanie i rozmnażanie pasiek, które w całym ciągu wieków średnich, w nader kwitnącym były stanie. Ogrody owocowe pielęgnowane przy niektórych klasztorach, upowszechniły się w XIV wieku, mianowicie pod panowaniem najgospodarniejszego z monarchów Kazimierza Wielkiego. Atoli w nadaniu Henryka księcia sandomierskiego z roku 1153 napotyamy ślad, że istniały

już wtenczas winnice w niektórych okolicach kraju.

Wiemy, że kopalnie soli lub kruszców i opłaty celne stanowiły księcia panującego dochód, który ustępowano rzadko możnowładcom duchownym lub świeckim. W szeregu wyłącznych przywilejów panującego liczyło się także myślistwo. Owóż w nadanych dobrach, w przywilejach książęcych, ograniczano bardzo często prawo polowania. Wyłączano grubą zwierzynę, jak np. dzików, a nadewszystko turów, które w pewnych miejscowościach lecz w niewielkiej ilości, znajdowały się w XIV, XV wieku a nawet później (\*). Ziemowit książę mazowiecki w nadaniu ziemi wyszogrodzkiej księżnie Elżbiecie, ogłasza, że ma prawo polowania w granicach całego księstwa, za wyjątkiem tylko jednych turów (Rzy. I 214-216).

Wyłączano w przywilejach bardzo często łowienie bobrów, które znajdowały się w znacznej ilości, więc stanowiły jedną z ważniejszych gałęzi przemysłu. W wielu miejscach obowiązani byli włościanie do utrzymywania stróżów czyli urzędników książęcych, których zwano bobrowemi panami.

W XII i XIII wieku panujący książęta w przejazdach po kraju, ciągnęli za sobą liczne zgraje myśliwych i łowczych, których zwano iskaczem. W miarę atoli udzielania obszerniejszych przywilejów, w dobrach duchownych i świeckich, uwalniano od nader ciężkiego obowiązku ugaszczania całej zgrai myśliwych, z zastrzeżeniem, że tylko iskacz czyli łowczowie mają być podejmowani według obyczaju rycerskiego.

W niektórych dobrach mieli dozwolone po-

(\*) Jan Ostroń pisarz z początku XVII wieku w opisie zwierzyńca Komarzeńskiego, wspomina o turach jako o gatunku zwierząt zbliżonym do zębów, zatem dodaje, że znajdują się w jednym tylko zwierzyńcu zamojskim.

(Rękopism w bibl. hr. Krasińskich. Przyp. Aut.)

lowanie włościanie, z pewnemi atoli ograniczeniami. W akcie sprzedaży z 1252 r. włości Dobrzejowice, przez Kazimierza księcia Kujańskiego Michałowi biskupowi wladysławskiemu powiedziano, że wolno polować włościom na sarny, kuny, zające i wiewiórki, atoli bez użycia psów gończych, z pomocą tylko pewnych znanych myśliwskich narzędzi. Następnie czytamy tamże, że w czasie obecności łowczych pańskich, niewolno polować żadnemu z włościom, nadto, że zapłacą karę pieniężną mieszkańcy, w których lasach znalezione będą inne myśliwskie narzędzia, oprócz dozwolonych prawem (Rzysz. II 599).

Wiewiórki w ogromnej liczbie; w najdawniejszych zaś czasach, mianowicie do XIII wieku, w niektórych majątkach obowiązani byli włościanie do składania w czynszu pewnej ilości wiewiórek. Jakób syn Pakosława Kasztelan wojnicki rościł pretensję do klasztoru tynieckiego, zapewne na mocy piastowanego urzędu, o należną jakoby daninę z każdego dworu dwóch wiewiórek, zatem zapozwał do sądu opata. Sprawy podobne rozstrzygały się zeznaniem wiarogodnych świadków. Więc księżna Grzymisława matka Bolesława Wstydlwego, złożyła świadectwo w sądzie krakowskim, że nigdy podobnej daniny nie pobierano z dworów tynieckiego klasztoru (kodeks d. Tyniecki I 28-29).

Pszczolnictwo kwitnęło bujnie w XIII wieku. Niektóre wioski i osady zamieszkałe były przez samych bartników. Dziedzice włości Bartodzieje w ziemi piotrkowskiej, bartnicy obdarowani przez Przemysława I, dostarczali księciu rocznie dwadzieścia cztery garnki pewnej miary miodu lub dwanaście grzywien.

Przemysł bartniczy rozwijał się z postępem czasu. Widzimy ze statutu Jana ks. Mazowieckiego 1397 r. że mieli bartnicy oddzielne sądy i swego starostę, który rozsądzał wszelkie sprawy według przepisów bartnego prawa.



Zastanawiając się nad stosunkami domowymi i społecznymi w okresie panowania Henryka Brodatego i Przemysławów, w porównaniu z dziełami poprzedniego wieku, dostrzegamy, że usiłowania książąt w celu zaludnienia kraju nie były bezowocne, zaś liczne przywileje, wpłynęły zbawiennie w danym czasie na podniesienie dobrobytu mieszkańców.

Dawny porządek rzeczy wskutku nadużyć w sądownictwie i w administracji, zwolna ustępował z pola, pod wpływem nowych ustaw i przywilejów.

Sędziowie grodzcy i kasztelansey, nie ścieśnieni w swą samodzielność żadnymi artykułami pisanego prawa, powodowali się w rozsądzaniu spraw stronniczością i przekupstwem. Odwoływanie się do sądów monarchy było dla wielu, zwłaszcza dla ubogich, niemożliwe, z powodu odległości miejsca, zatem znacznych kosztów podróży i opłat. Nie tylko skazany wyrokiem ale i niewinny musiał opłacać się urzędnikom sądowym. Było wprawdzie w zwyczaju dawnych królów i książąt, że jeździli po kraju, słuchali w miarę możności zażeń i kontrolowali wyroki sędziów. Ale musieli częstokroć wyręczać się zastępstwem namiestników, którzy nie wolni byli od zarzutu stronniczości. Jak wzmiankowaliśmy wyżej, postępowanie sądowe było dowolne. W braku świadków i dowodów prawnych brano podejrzanego o występki na tortury i wymuszano zeznania. Dosadny obraz tych nadużyć przedstawia mistrz Wincenty w swym kronice, opisując dzieje Mieczysława Starego. Kronikarz nasz przytacza między innymi szczegóły następujące: Zdarzało się, że za naruszenie przywileju panującego, za zabicie dzika, stawiano obwinionego przed sądem. Napróżno tłómaczył się on, że zwierzę poczyniło mu znaczne szkody w dobytku lub w ogrodzie. Sądzony i przekonany o winę musiał zapłacić dziesięć grzywien. Często wymyślano najbezzasadniejsze zarzuty, w celu ściągania pieniężnej kary. Tak np. jeżeli kto przyjął nowego sługę, wołano go i zapytywano czy przyjął wolnego, czy poddanego. Jeżeli odrzekł, że przyjęty na służbę jest wolnym człowiekiem, potępiano go za to, że wolnego uczynił poddanym, skoro zaś odpowiedział przeciwnie, sądzono, go za to, że przyjął cudzego poddanego. Jeżeli kto zajął sąsiadowi bydło, które czyniło szkodę w polu, oskarżono go o kradzież i skazywano na zapłacenie kary. Szczęśliwym mógł się nazwać, jeżeli pozwolono mu opłacić się w bieżącej monecie i nie zażądano uiszczenia kary według najczystszej próby. Namnożyło się bowiem w tym czasie wiele fałszywych pieniędzy, puszcanych w obieg z mennicy książęcej. Kwestyonowano atoli częstokroć w sądach takową monetę i zarzucano, że dawno wyszła z obiegu jako fałszywa. Opowiadanie o losie obwinionego kończy kronikarz temi słowy: Oddają go oprawcom, wtracają do więzienia, i cały majątek na skarb zabierają, następnie ogołoconego z ostatniego grosza, zmuszają na torturach do obietnicy, że wszystko zapłaci. Wieść głosi, — mówi dalej, że nawet zasłużeni kapłani wyzionęli w ten sposób ducha na torturach. Jakkolwiek jaskrawe i naderwane może pewną stronniczością jest opowiadanie mistrza Wincentego, o nadużyciach sądowych pod panowaniem Mieczysława Starego, nie możemy powątpiewać o rzeczywistości kreślonych przez niego obrazów. Nietylko w sądownictwie, ale w ogóle w prawach i urządzeniach kraju było wiele złego, źródło jednak tegoż wypadu odnieść do bardzo odległej epoki. Owoż przypisywanie tych nadużyć wyłącznie

opieczętowania Mieczysława, może być poczytywane słusznie na karb osobistej niechęci kronikarza, lub przyćmionego poglądu na stosunek współczesnego mu okresu do przeszłości.

Według dawnego obyczaju, liczne ciężary i powinności obarczały ludność rolniczą. Możliwość władcy i urzędnicy monarchy nadużywali swego przywileju, skoro w licznych podróżach zabierali podwozy i zajeżdżali konie włościańskie. Książęta pobierali mnóstwo opłat, niektóre jeszcze z czasów pogańskich, jak np. z okoliczności godów czyli wydania za mąż dziewczyny lub wdowy i t. p.

Kazimierz sprawiedliwy publiczną uchwałą na zjeździe w Łęczyce 1180 roku, zniósł pewne zbyt uciążliwe, uprawnione odwiecznym zwyczajem powinności. Na zjeździe tym, prócz książąt i ośmiu biskupów, przyjęli udział w naradach wyżsi dostojnicy kraju i wielu z rycerstwa. Zagrożono pod karą ekskomuniki, ażeby nikt nie ważył się uciążliwie włościan wyciąganiem podwód. Zniesiono też między innymi prawo, na mocy którego w pewnych ziemiach Polski, w braku synów zabierano po umarłych majątki na rzecz książęcego skarbu. Wyłączone z pod tej ogólnej zasady były tylko dobra nadane prawem dziedzicznym (jure haereditario). Obyczaj ten dawny dotkliwy był szczególnie dla osób duchownych. Oni też wpłynęli przezwrotnie na uchwałę łęczyckiego zjazdu. Odtąd więc dopiero kapłani mogli rozporządzać swobodnie swą własnością, zapisując na rzecz krewnych, lub kościołów i klasztorów.

Sami książęta poczuwali się do obowiązku wyrugowania pewnych starych szkodliwych zwyczajów, do znoszenia niesłusznych danin i ciężarów. W celu zaludnienia pustych obszarów kraju, musieli wyzwać się z części przywilejów monarchy na korzyść ogółu. Ofiary te nie były zbyt wielkie, bo książęta panujący czerpali zawsze znakomite źródła dochodów z ziemi, czynszów i opłat. Wyrzekając się niektórych danin nie wyzwalali się z przywileju zbierania podatków w nagłych potrzebach kraju, jak np. w razie najazdu nieprzyjaciół lub uwięzienia samego księcia. W tym ostatnim wypadku składano pieniądze na okup z całego podwładnego kraju. Zastrzegali też w przywilejach książęta, że służy im prawo pobierania daniny z okoliczności pewnych uroczystości, jak np. ślubu samego monarchy, jego syna lub córki, lub pasowania syna na rycerza (Stenzel: Urkunden p. 22, 25, 67).

Wspomnieliśmy wyżej o braku rąk do uprawy ziemi. Przeprowadzano nieraz rolników i służebnych ludzi z jednego do drugiego majątku, częstokroć z oddalonych okolic. Przy sprzedaży więc lub zapisie majątku, wymieniano po szczególe ludzi, których oddaje lub wyłącza zapisodawca. Rozumie się, że wyłączenie to rozciągało się do ludzi niewolnych, czyli służebników, uprawiających rolę swego pana lub pełniących jaki inny obowiązek.

Mówiliśmy wyżej, że książęta wydzielali ziemię zarówno osobom rycerskiego stanu jako też kmieciom. Zdarzało się niekiedy, że dział kmiecia obejmował znacznie większą przestrzeń gruntu niż dział szlachecka. Płacili oni czynsz księciu i przywiązane do ziemi powinności. Osadzano przybyszów z obcych krajów najprzód na polskim, później mianowicie w końcu XII-go i XIII wieku na niemieckim prawie.

W XII wieku wydzielano przybyszowi ziemię stosownie do ilości inwentarza i sił, którymi mógł rozrządzać. Ale zdarzało się, że nowy osadnik zagarnął z czasem kilka razy większą prze-

strzeń ziemi od wyznaczonego mu pierwsiakowo działu. Nikt mu tego nie bronił, bo ziemia leżąca odlegiem nie przynosiła pewnych korzyści. Władanie obszernym pasem ziemi nie znaczyło bogatego posiadacza, zwłaszcza jeżeli nie miał dostatecznej ilości rąk do pracy i odpowiedniego inwentarza. W epoce powszechnego braku pieniędzy, łatwiej było nierównie kupić majątek niż znaleźć kupca. Właściciele pragnący pozbyć się swego dziedzictwa, chwytali się rozmaitych wybiegów, w celu znalezienia nabywcy. Dzieje henrykowskiego klasztoru i jego posiadłości zawierają w tej mierze parę ciekawych szczegółów. W sąsiedztwie pomienionego klasztoru leżała osada zwana Brukalice. Założycielem tejże był niejaki Bogufał, czech rodem, któremu książę Bolesław Wysoki wyznaczył przestrzeń ziemi, w stosunku do inwentarza czterech wołów. Ależ na około były lasy i pustki, przywłaszczył sobie czech znacznie większą ilość ziemi. Osiedliwszy się w Polsce, pojął Bogufał za żonę dziewczkę gminnego pochodzenia i obyczaju. Miała ona atoli zaletę, bo była wielce pracowitą i mleła ciągle żarna. W owym bowiem czasie (to jest w XII wieku) pisze kronikarz, wodne młyny były nadzwyczajną rzadkością. Litował się niekiedy mąż nad żoną i mówił: daj *ut ja pobrusa a ty poziwaj*, (pozwól niech ja pomiele a ty odpoczni) poczem sam obracał kamień. Sąsiedzi słysząc to nazwali go Brukałem, z kąd osadę nazwano później Brukalicą. Owóż potomkowie czechy pragnęli sprzedać ojcowiznę, ale nie mogli znaleźć kupca. Przyszło tedy na myśl jednemu z nich, ażeby nastraszyć opata henrykowskiego klasztoru i zmusić zręcznym fortem do nabycia ich majątku. Udaje się więc do opata i mówi: jeżeli nie kupicie naszego dziedzictwa, podarujemy jemu rycerzowi, którego sąsiedztwo może stać się wielce uciążliwym dla klasztoru. Powiódł się fortel najzupełniej. Przerazonny opat myślą niebezpiecznego sąsiedztwa, nabył Brukalice pod korzystnymi dla sprzedających warunkami (lib. fundat: claustrum in Heinrichow 62—63).

Niespokojni sąsiedzi dokuczali w rozmaity sposób zakonnikom, którzy przeto starali się ich pozbyć, nabywając przez kupno lub zamianę okoliczne posiadłości. Ziemia Michała syna Dalibora graniczyła z ogrodem henrykowskiego klasztoru. Sprowadził on kolonistów niemców, których żony i córki wyprawiały tańce. Opat obawiając się zgubnego wpływu na obyczaje zakonne wesołych sąsiadek, przedstawił korzystny układ Mikołajowi i nakłonił go do wymiany posiadłości na wieś Niklawice (tamże 37—38). Inni znów sąsiedzi trudnili się kradzieżą i rozbojem. Dwaj bracia Alsik i Dalebor odznaczali się niepoprawnym łotrostwem. Opat namówił pierwszego, że sprzedać część swoją mieszczanom z Minsterbachu. Drugi, Dalebor pojmany został za złodziejstwo przez miejscowego starostę. Wstawił się za nim opat i uwolnił go z więzienia. Wdzięczny Dalibor sprzedał za to część własną klasztorowi. (d. c. n.)

## KORESPONDENCYA

Berlin w L stopadzie 1872

Co przybywającego dzisiaj do Berlina, zwłaszcza po kilku latach niebytności, bardzo dotkliwie i dostrzegalnie uderzyć musi, to szalenie wzrastająca drogosc wszelkich potrzeb i przedmiotów najniezbędniejszych do życia. Owe



powodzenia wojenne, owe świetności zewnętrzne, owe miliardy francuskie są istnie tylko wypuszczone strzałami uchodzących Partów. Zgromiony, nieprzyjaciół pomścił się na zwycięzcy, całkiem mimowolnie może, samą logiką wypadków i zmiennych kolei, zaszczerpieniem dwóch idących zawsze ręka w rękę przeciwności, zbytku i drogości z jednej, pauperyzmu z drugiej strony. Gdzież się podziały te dobre czasy, kiedy syn Muz znajdował w *Belwederze* za posągami Blüchera u Scharnhorsta lub w *Café de Bavière* pod Lipami wcale znośny obiad za ośm srebrnych groszy, a mieszkanie również bardzo przyzwoite na jakiej *Dorothenstrasse* lub *Louisenstadt* za sześć talarów miesięcznie! Wszystkie te normalne dawniej ceny *potroili* się przynajmniej od czasu Sadowy i Sedanu, odpowiednio do tego urosł w wartość każdy trzewik, każdy surdut, każdy kapelusz. Berlin staje się w skutek tego zabronionym Edenem biednym studentowi; nie ręczymy czy się nim nie stanie nie za długo dla członka izby deputowanych sejmu pruskiego spoglądającego z trzema talarami dyet w kieszeni na *Zehnguldenmännern* austriackiej rady państwa. Wkrótce stanie się Berlin stolicą z jednej strony wojska, urzędników i *Börsenjobberów*, z drugiej strony proletaryuszów spoglądających *aus der Barackenstädte*, z przedmieściowych zaułków, z poddaszy i ze sklepów groźnie i złowrogo na *Hausbesitzerów* i kapitalistów, wesołych dalej niewiast *nie* z Windsoru, których liczba ciągle wzrasta, jakkolwiek rząd, policja, a nawet reprezentacja kraju pracują wspólnie i zgodnie, by złemu zapobiedz. Pessimistyczne te refleksje, istnie Jean-Paulowe marzenia młodzieńcze w noworocznej nocy, nasuwają się mimowolnie w obec tego, co Berlin przedstawia w teraźniejszej smutnej, ołowianej, jesiennej porze, w obec skarg akademików i wszelkiej innej uczącej się młodzieży, emigrującej ztąd do Halli, Wrocławia, Lipska i Gryfi w obec dyskretnych biadań deputowanych, którzy powoli zaczynają się przekonywać, że za trzy talary dziennie trudno im wypędzać jezuitów, wojować na rzecz ordynacji powiatowej z izbą panów i śrubować ciągle w górę wojskowe budżeta. Prawda ta bije w oczy i reprezentantom kraju podwyższając podobno kwotę dzienniej indemnizacji na pięć talarów, ale takich *ekspektantów* z innych sfer, zatrudnień i zawodów życia jest tysiące, a potrzeby i wołania wszystkich zadowolnić jest czystym niepodobieństwem. Idzie więc owa klęska zwycięstwa, owa Almanzorowa zemsta zwyciężonych, w tropy za zwycięzcami nieubłagany swym biegiem, a Berlin traci dzięki jej coraz bardziej dawne swe charakterystyczne uczono-filistrowsko-biurokratyczne piętno.

Zwróćmy się przecież od tego smutnego nawet dla cudzoziemca widoku, w lepszą i dodatniejszą stronę berlińskiego życia. Otoż tedy w zmiennych i ulegających chwilowym prądom i wrażeniom tego życia, po entuzjazmie politycznym dla trójcesarskiego zjazdu, po smutku dla zmarłego księcia Albrechta, po walkach i wśród walk między narodowo-liberalnym rządem a zachowawczo-feodálną izbą panów w przedmiocie projektu ordynacji powiatowej, nastąpił niezaprzeczony interes tutejszej publiczności dla sztuki. Stawiając podobne twierdzenie, nie mamy na myśli ani opery, której administracja ogłasza drogą pism publicznych zlanie kontraktu p. Lucca i dezercję jej do Ameryki, ani koncertów Ulmanna, z jego towarzysztwem artystów, ani mało znanych w reszcie Europy P. Augusta Wilhelmy czy p. Ottona Neitzla, lecz raczej ową zasobną i wspaniałą

wystawę sztuki w tutejszej akademii sztuk pięknych, która już od pierwszych dni miesiąca Września ściągając liczne tłumy ciekawej publiczności, a która figuruje w obszernych a nieustających sprawozdaniach jako przedmiot zajęcia w dodatkach i felietonach wszystkich tutejszych dzienników. Czem się przedewszystkiem obecna wystawa odznacza, to jak wszystkie dotychczasowe berlińskie nader małym udziałem artystów zagranicznych, co uderza niekorzystnie pretensjonalność tutejszą, któraby spanoszone ostatnimi powodzeniami Berlin na każdym polu świecącym i uznanym w roli cesarskiej stolicy ujrzyć pragnęła. Francuzka szkoła świeci z bardzo naturalnych powodów najzupełniejszą próżnią, artyści austriaccy i południowo-niemieccy gotując się na przyszłoroczną wystawę wiedeńską, nie uważali za rzecz potrzebną brać udziału w berlińskiej. Tak więc ogranicza się wystawa malarstwa szczególnie na artystach miejscowych berlińskich i północno-niemieckich. Katalog wystawionych dzieł pędzi nie pozostawia w tym względzie najmniejszej wątpliwości. Co się tyczy wartości wystawy, zgadzają się ogólnie wszyscy, że na największe uznanie zasługuje dział *portretów*, przedstawiających, jak się łatwo domyslić można, polityczne i wojenne znakomitości ostatnich wypadków. Portrety hr. Moltkego, ks. Bismarcka, cesarza Wilhelma, ks. Fryderyka Karola, — wszystko arcydzieła pędzi malarzy, jak: Müllera, Richtera, Begasa, cieszą się, jak to dopiero powiedziano, ogólnym i niepodzielnym uznaniem. Mniej korzystne są znawców sądy o obrazach historycznych, i z dumą powiedzieć możemy, iż malarza jak Matejko nie posiadają na tym polu Niemcy. Szczęśliwszym jest dział malarstwa przedstawiającego sceny z życia, *Gemeinelei* jak Niemcy nazywają. Do najpiękniejszych przedmiotów wystawy w tej dziedzinie należy między innymi obraz Lübeny zapisany w katalogu pod tytułem *die verunglückte Medicin* (Chybione lekarstwo), a przedstawiający z istotnie hogartowską komiką wieśniaka, który wylał sobie na święteczny surdut kupione dopiero co lekarstwo. Wyraz twarzy wystraszonego wieśniaka, łącznie z dziwnie zcharakteryzowanym wyrazem fizjonomii pocziwego psa, który na niefortunny przypadek swego pana melancholijnie spogląda, wywołuje na widzu efekt niezrównanej komiki. Professor Larch z Düsseldorfu wystawił obraz pod nazwą *Uwieszenia* (*Verhaftung*); odznaczający się znakomitością wykonania technicznego w szczegółach, choć dalekiego, by wrażeniem całości mógł zatrzeć niezaprzeczoną wyższość kompozycji Lübeny. Mnóstwo figurujących na pierwszym planie postaci, hardy młodzieniec z zakrwawioną, chustką obwiązaną głową, starzec klęczący się z urzędnikiem publicznego bezpieczeństwa, otaczające grono ciekawych, — wszystko to nie pozwala mimo niezaprzeczonych, jak powiedziano wyżej, przymiotów technicznych owego obrazu, odgadnąć ani przyczyny, ani celu owego uwieszenia. Obraz p. Larcha pozostaje pod tym względem pewną nierozwiązaną dla publiczności zagadką. Ze spostrzeżenia naszego powyższego o ubóstwie stosunków malarstwa historycznego, stanowi zaszczytny wyjątek, reprezentowany również na obecnej wystawie berlińskiej, malarz *Adolf Treidler*. Obraz jego przedstawia małżonkę brandeburskiego elektora Joachima I, przyjmującą po raz pierwszy komunię pod obu postaciami. Wyraz twarzy elektorowej, która klęcząc przyjmuje z rąk pastora sakrament, jest piękny i pełen natchnienia wiary. Za to niewiadomo, o ile czy z intencją, obdarzył artysta pastora

dobrą tuszą i pewnym lekkim uśmiechem, który mimowolnie może wywołuje na widzu wrażenie, jakoby stopień jego wiary i natchnienia był troszeczkę odmiennym od stopnia wiary i natchnienia dostojnej penitentki. Zresztą należy obraz p. Treidlera pod względem kompozycji i techniki do najwspanialszych okazów wystawy.

W dziele rzeźby pełnym dzieł dłuta młodych artystów, których talent, wystawa modeli, posągów Göthego w przedsionku nowego muzeum poznać nam dała, uderza nas najkorzystniej wykończona i wypieszczona do najdrobniejszych szczegółów praca prof. Jerichana z Kopenhagi. Przedstawia z białego marmuru dziewczynę wiejską niosącą w fartuchu kilka młodych kociąt. Stara kotka wspina się z pod nóg dziewczyny i zagłada do swych młodych. Jest to kompozycja pełna wdzięku i wykończenia, godna ziomek Thordwaldsenowego. Otoż kilka drobniaków i szczegółów z wystawy, nad którą wrażliwość i potrzeby, rozpisywać by się łatwo w całe tomy.

Obok tego zasługuje na uwagę przez ocknienie się literatury niemieckiej. Po wojnie francuskiej nie było miejsca dla niczego innego jak dla wspomnień Wörthu czy Sedanu, jak dla uprawy wojennego tematu przerabianego wierszem i prozą na tysiąckrotne wariacje. Nie można powiedzieć, aby się teraz pod tym względem były rzeczy radykalnie i kompletnie zmieniły. I teraz jeszcze witają nas z po za każdej zwierciadlanej szyby każdej księgarni pod Lipami dzieła *Sztaby generalnego* o wojnie francuskiej, książka *O działaniach V korpusu* w wojnie francuskiej, *Wspomnienie ochotników* i nieochotników z kampanii nad Loarą przeciw Chanzemu lub w Wogezech pod Werderem. Obok tego zaczyna się przecież znajdować coraz szersze miejsce dla dzieł z innego pola i innych dotyczących przedmiotów. Wychodząc z zasady *prima charitas ab eo*, zapisujemy tu na pierwszym miejscu wspaniałe pod względem typograficznym dzieło, *pośrednio* i naszych dotyczące dzieł. Dzieło to wydane we Wrocławiu nosi tytuł *Schlesische Fürstenbilder des Mittelalters* von dr. Herrmann Fuchs. Wspaniałe to dzieło zawiera 47 pięknie wykonanych, tu i ówdzie ilustrowanych rycin, portrety i nagrobki książąt i biskupów szlaskich z epoki średnich wieków. Tekst objaśniający jest troskliwie i źródłowo opracowany. Czego jednakże w nim szukamy napróżno, a cobyśmy najchętniej znaleźć byli chcieli, to wskazówek i śladów *słowiańskości* owych biskupów i książąt. Przeglądając wyobrażenia owych piastowych potomków, owych książąt na Beregu, Wrocławiu, Lignicy, Jaroczu, Żeganiu, jak chętnie chcielibyśmy wiedzieć, czy ów Bolko, Henryk i Władysław przyznawali się do rodu i plemienia słowiańskiego, czy umieli odezwać się rodzimym językiem, czy mieli serce dla kraju z którego wyszli, czy też przeciwnie byli zniemczonymi *Minnesengerami* jak Henryk na Lignicy lub zadłużonymi awanturnikami niemieckimi, jakich typy pozostawił nam w swym pamiętniku o Piastach szlaskich z XVI wieku, towarzysz ich i kronikarz Schweinichen? Wspaniałe zągadiną dzieło p. Fuchsa nie daje na te zapytania dostatecznej odpowiedzi... Przechodząc do naukowych publikacji z innego pola, spotykamy się z nowym dziełem tyle sławnego swego czasu biografy Jezusa Chrystusa (Leben Jesu) Dawida Straussa, pod tytułem *Alter und neuer Glauben*. W dziele tym Straussa o starą i nową wiarę, występują na jaw nieco inne kwestye jeszcze, jak same kwestye wiary, od których autor rzecz swą tylko za-



czyną. W dziedzinie *wiary*, jest autor, ku wielkiemu zadowoleniu pism liberalnych w rodzaju obu *Press* wiedeńskich, stokroć w nowym swym dziele śmielszym i radykalniejszym jeszcze aniżeli w *Życiu Chrystusa*. Według niego, uczynił dokonany ostatnimi czasy na polu nauk przyrodzonych postęp ogromną szecerbę, w przykazaniach i całym organizmie objawionej wiary, szecerbę której nie zapełnić nie zdoła. Według autora przestaje świat być chrześcijańskim, żadne z istniejących wyznań nie zadawała go, steruje słowem do przystani najzupełniejszego materializmu, w czym Darwin, Haeckel, Wogt są mu jakoby przewodnikami gwiazdami. Zakreśliwszy w ten sposób stanowisko swe w dziedzinie *wiary objawionej*, rozprawia się autor krótko ale logicznie i zwycięsko z systemem *filozofii nieświadomości* Hartmana, któremu odmawia na-

za publikacją jego dzienników (*Tagebücher*), korespondencją jego ze sławnym swego czasu ekscentrykiem i turystą niemieckim, księciem Pückhau-Muskau.

## FORNARINA.

Na zatybrzańskim przedmieściu Rzymu (*Trastevere*) w pobliżu starego mostu przy ulicy, od której wznosić się zaczyna droga prowadząca do kościoła Ś. Piotra zwanego in montorio, istnieje do dziś dnia stary dom, w którym na dole mieści się piekarnia, (*forno*, *fornajo*), na drugim zaś piętrze widać dość znacznych rozmiarów okno o okrągławym, prawie ostrołukowym zasklepieniu,

byli zupełnemi onego zmysliciela; ogólny upadek moralności i sztuki niewątpliwie bardzo się do tego przyczynił. Wpatrując się głębiej w ówczesny roztrój, w ową poczynającą się szerzyć zarazę burszeryi pośród młodzieży nauk i sztukom poświęconej, nie trudno się domyslić, iż dla niej nie mógł być zrozumiałym arcy mistrz końca XV i początku XVI wieku, otoczony aureolą czystych podniosłych dążeń, myśli i uczuć; trzeba było zbrukać tę postać, aby ją do siebie zbliżyć.

Wyższe, podniosłejsze umysły, innemi nawykłe chodzić torami, podjęły się rehabilitacji Fornariny, i u nas też, tak jak kiedyś Niemcewicz pierwszy się odezwał ze zdaniem, iż w Esterce należy koniecznie dopatrywać się osobistości wyższymi przymiotami duszy i serca wpływającej na Kazimierza Wielkiego, tak niedawno zga-



SEN WODNYCH PTAKÓW.

wet przymiotu oryginalności i nowości, w dziedzinie *polityki* oświadcza się za monarchią a co więcej nawet za reprezentacją stanową, w sferze *socjalnej* kładzie wreszcie stanowcze swe *veto* przeciw obecnym na tym polu obłędowi, jak *Internazionali* i *Komunie*. Otoż naszkicowana w najgrubszych zarysach treść tego cokolwiek bądź najpotężniejszego z myślicieli niemieckich z którym Pigmeje w rodzaju Hartmana mierzyć się w żaden sposób nie mogą. Postępując dalej w naszej lustracji nowości literatury niemieckiej, witamy z prawdziwym zadowoleniem szeregu publikacji nowych i starych dzieł wielkiego pisarza istnie berlińskiego bruku Varnhagena von Enze. Nasamprzód wydaje księgarnia lipska Brockhauza jego piękne biograficzne szkice. Dalej ogłasza po raz pierwszy z pozostałych po nim rękopisów, siostrzenica jego, sławna Ludmilla von Assius, przesładowana i wskazywana

ozłobionem otokiem z gliny palonej, bardzo pięknego wyrobu; do tego domu, do tej piekarni i okna, przywiązana jest cała legenda o Rafaelu Sanzio i jego pięknej Fornarinie.

Pod imieniem Fornariny czyli piekarki znana jest osobistość kobieca, która miała bardzo przeważny wpływ wyrzec na mieszkańca owego pięknego okna, młodego malarza z Urbino. Że Sanzio w tym domu mógł mieszkać, jest to do prawdy bardzo podobne, leży on bowiem na przedmieściu najbliższem Ś. Piotra watykańskiego i na tej samej stronie Tybru; sam otok okna pochodzić też musi z XIV lub XV wieku.

Jakim był istotnie stosunek wielkiego mistrza do tej zagadkowej niewiasty trudno dziś po 350 latach ściśle określić, o ile jednak rzecz zbadaną została, zdaje się iż niemieccy pisarze XVII wieku dużo się przyczynili do oszpecenia tego stosunku, jeżeli nawet jak niektórzy dowodzą nie

sły Syrokomla, obcą nam postać rzymskiej piekarki zapragnął otrząsnąć z legendowych przydatków upadłej epoki i za pośrednictwem poematu okazać nam ją godną wielkiego mistrza, z którym losy swe związała.

Jak dalece na koniec faktycznie zecz całego tego stosunku trudną jest do uzasadnienia, za jeden z dowodów służyć może to, iż z trzech najprawdopodobniejszych portretów Fornariny dwa tylko są niewątpliwie ręki Rafaela wszystkie zaś trzy zupełnie różnią się od siebie pod względem rysów twarzy i wyrazu.

Malarz, którego pomysł w rycinie podajemy wyobraził Sanzia w chwili kiedy pracując nad *Madonną* zwaną *Sykstyną* (z powodu iż tu jest wyobrażony Ś. Sykstus) odpoczywa w zamysleniu, uczynił to znać dla tego, iż jeden z domniemyanych portretów Fornariny podobny jest do oblicza tej *Madonny*, z tego też portretu znajdu-





Rafael i Fornarina.



jącego się w galerii delli Ufficii w Florencji wziął wzór do tej postaci w swym obrazie.

## RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 102).

XVII.

Nawyki do znoszenia ciężkich losu niespodzianek, Sylwan przetrwał ostatnią burzę z pozornym spokojem i rezygnacją; daleko boleśniej była ona dla Lelii, która jako kobieta żywiej ją uczuła. Nazajutrz po zerwaniu Hanny z jej bratem, po zwróceniu pierścionków, Olesia, chociaż starała się udawać swobodną i obojętną, pod wieczór upadła chora na łóżko, płacząc potem wszystkiemi co straciła. Na szerokim świecie nie miała już nikogo prócz brata, którego przyszłość tak jasna i piękna, dziwnym losu zrzuceniem w proch się rozsypała... Stosunki z jedyną rodziną przyjazną im od dzieciństwa pękły na zawsze... Ofiara jaką Lelia chciała dla ich utrzymania uczynić... stała się nieużyteczną, może nawet, rozgłoszona teraz, cień jakiś na nią rzucić mogła... Ona i Sylwan znajdowali się przez tę niezrozumiałą zdradę Hanny (tak ją Lelia nazywała) odepchnięci... skazani... potępieni. Nieprzyjaciółom Sylwana przybywał oręż przeciwko niemu, bo nie ma w świecie zaciętszych wrogów nad tych, którzy potrzebują uniewinnić się ze zmiany uczuć dla dawnych przyjaciół.

Herman jeden pozostawał jeszcze z nimi—choć rola jego Lelii wydawała się więcej niż podejrzana, ona upatrywała w nim nawet nieślusnie sprawcę wszystkich nieszczęść.

Hanny swęj poznać nie mogła i zrozumieć... Głęboki smutek opanował zwykle wesołą, gadatliwą i trzpiotowatą kobietę, która łatwo i zbytnim dawała się unosić nadziejom lub w rozpacz ostateczną wpadała... Sylwan przychodzący zastał ją z gorączką, dreszczem, splakaną, zmienioną nagle... zbolełą. Szedł do niej po radę, a musiał zamilczeć, widząc, że do tego znękania kroplę nawet żółci dodawać było niebezpiecznieniem... Tę kroplę zachował on w duszy. Właśnie w tym dniu jeden z tych cichych przyjaciół i współwynawców, których Sylwan miał między ludźmi na pozór małego znaczenia—doniósł mu pod sekretem, że musiało coś spowodować w rządowych sferach zwrot szczególnej uwagi na niego. Kazano bowiem przejrzeć czarne księgi i wyszukać *curriculum vitae* Sylwana, a człowiek który mu o tym doniósł, dodał, że zwykle się to dzieje, gdy komu grozi wygnanie i wywołanie.

Sylwan wyrobił był tu sobie już pewne koło, stosunki, środki pracy—nawyk do kąta, w którym słyszał mowę rodzinną; groźba wygnania była dlań ciosem... Cios taki, jest zwykle gdy go dłoń miłościwej braci zgotuje, nieuniknionym; żadne wpływy i prosby usunąć go nie potrafią. Przestroga wczesna dawała mu czas do namysłu—i to jeszcze było dobrodziejstwem... Chciał się z razu zwierzyć siostrze, aby z nią obmyślić środki jakieś na przyszłość—trudne do wynalezienia gdyż wywołanie z jednego miejsca pobytu, utrudnia znalezienie go gdzieindziej i podejrzany jednym staje się wszystkim podejrzany. Zobaczywszy ją chorą, zamknął ból w sobie.

— Ja ciebie nie pojmuję, Sylwanie, płacząc

mówiła Lelia—tyś jej chyba nie kochał? tyś spokojny...

Sylwan się gorzko uśmiechnął tylko.

— Kochałem ją, alem kochał tę inną Hannę która tu ze wsi przybyła, tę jeszcze dawną moją idealną—a która słabiuchna w przeciagu krótkiego czasu uległa wpływowi powietrza, co ją otoczyło nie czując nawet, że je w piersi wciąga. Mamże ją obwiniać? mojego bólu wysłowić nie potrafię. Ta metamorfoza najpiękniejszej istoty w pospolitą—biedną, słabą i ułomną—to może więcej niż utrata serca, bo strata wiary w miłość samą. Wieczną żałobę nosić po niej będę—lecz Lelio moja, jeśli się Hanna zmienić raz miała, wolę ją zmienioną dzisiaj niż—później.

Mysle—dodał Sylwan—że mnie i tobie tutaj powietrze służyć nie będzie. Jesteśmy o tyle od drugich szczęśliwsi, że o chleb powszedni zbyt się troszczyć nie potrzebujemy—mniej jednym ciężarem... zwiniemy podróżne tłomoki i powędrujemy gdzie dalej...

— Aby na takich samych trafić ludzi... dodała Lelia...

Tego wieczoru Sylwan nie powiedział nic więcej, uspokoił o ile mógł siostrę i powlókł się późno do domu...

Noc była księżycowa, jasna, spokojna... godzina w której się kończą przedstawienia w teatrze, droga wiodła po pod bramy jego... a z bocznej furtki wychodziła właśnie zmęczona Viola z Pawłową i Szerszeń szedł za nimi z papierami pod pachą. Przeczula go raczej niż poznała biedną dziewczyną, która tego dnia po raz pierwszy wstawszy musiała odegrać jakąś rolę komieczną, i powitana została bukietami i oklaskami przez entuzjazmu pełną publiczność. Wracając mimo to znękana a smutna jak w przeddzień zgonu. Teatr miał wywędrować wkrótce na prowincję... Zobaczywszy Sylwana, dziewczę nie zastanawiając się nad tem, że w ulicy pełno jeszcze było osób wracających z przedstawienia, pochwyliło go za rękę...

— A! to pan! to pan! nie widziałam was w krzesłach... co się z panem stało?

— Miałem do czynienia wiele—rzekł Sylwan. Cicho szeptała mu w ucho.

— Chodź pan do mnie... proszę pana na minutkę... chodź pan domnie...

W tej samej chwili z drugiej strony zjawiał się Herman... Viola spojrzała nań, puściła rękę Sylwana i zamilkła... Słyszał przecie zaproszenie hrabia i witając razem brata i Violę—odezwał się:

— Niech nas pani zaprosi obu...

— Nie mam przyjemności znać pana bliżej...

— Niech mi pani wierzy, że jam temu niewienu, rzekł Herman; dopraszałem się tego szczęścia nadaremnie... Mam widać czy tak nieobecującą fizyonomię, czy tak złą reputację, że drzwi pani stały dla mnie nielitościwie zamknięte... Bratby powinien zaświadczyć, że zemnie—mimo wszystkie plotki—nie tak bardzo zły człowiek...

— Ja nowych znajomości nie—lubię, odpowiedziała Viola.

— Ja bo jestem z widzenia stara znajomość: nigdy, oprócz dzisiaj, nie opuściłem żadnego pani występu... a admiruję ją zawsze.

— Nie wartam—odezwała się Viola.

— Tak panią szacuję, że jej nie powiem komplementu—odezwał się Herman—ale zaprosz nas pani wyjątkowo obu na... kwadrans—będę się znajdował tak grzecznie... że się pani zdumieje. Viola milczała...

— Jeśli mnie pani nie zaprosi, to i Sylwana mieć nie będzie...

— Więc proszę panów obu! rozśmiała się Viola...

Sylwan słuchał z dziwnym uczuciem jakimś... jakby ta rozmowa przegrywką być miała do nowej jakiejś niespodzianki. Za nimi idący Szerszeń mruczał, Pawłowa milczała gniewna. Zbliżyli się do domu... Herman kilka kroków cofnął się ku Szerszeniowi.

— Artysto! łaskawco! ty co grałeś monarchów na warszawskiej scenie—szepnął mu—uczyn mi łaskę—a klęk przed tobą. Widzisz, że Viola nas obu prosiła... oto masz pieniądze... Za wszystkie kup owoców, cukrów... co chcesz i przynieś je od siebie... Zaklinam cię.

— Ale panie!

— Nie ma ale! odskakując zawołał Herman, i pospieszając na wschody za Violą... Sylwan szedł ironicznie się uśmiechając.

— Czy i tu ja ciebie mam wprowadzić, abys ty mnie potem wypędził? zapytał na ucho.

Herman zapłonął, spojrzał mu w oczy...

— Ty sam się zewsząd czynisz wygnańcem, rzekł... jesteś z tego rodzaju ludzi, po których plecach wszyscy się wspinają i którzy stworzeni są—na drabiny...

W tej chwili wchodzili na trzecie piętro, a Pawłowa ciemne pokoiki usiłowała co rychlej oświecić... Tymczasem księżyc wpadający przez okna... słabo, fantastycznie rozjaśnił salonik ubogi... Viola milcząca, pomieszana stała wśród pokoju czekając na świecę... rozmowa była przerwana... słychać tylko było ciężki jej oddech... i prawie serca bicia...

Szerszeniowa pozbawiona pomocy męża, który dawszy się skompromitować polecił po ów podwieczorek, mruczała biegając po świecie i lich-tarze... i nierychło oświecić potrafiła poddasze.

— Siadajcie panowie proszę, odezwała się artystka—lecz darujcie mi, że gości nie mam czém przyjmować...

— Wejrzeniem i uśmiechem niech nas pani nakarmi, a nie będziemy głodni!

Viola popatrzała na młodego chłopaka poważnie.

— Wyglądasz pan zupełnie podobnie do tego drugiego listu, który panu dziś oddać muszę, rzekła...

— Obu nas pani znajdujesz niedorzeczniemi? nie prawdaż?

— O! nie—ale jakżeście młodzi i jak bogaci, by się tak śmiać nawet z tego co drugich boli!

— Mnie się zdaje, wtrącił Sylwan, że Herman inaczejby płakać nie potrafił niż ze śmiechem.

— I śmiać się inaczej niż ze łzami, dokończył hrabia...

Viola siadła... Herman stał przed nią i patrzył... Szerszeń wszedł niosąc z pomocą chłopaka z cukierni zakupione słodycze. Aktorka porwała się cała zarumieniona.

— Co to jest? zapytała.

— To Sylwan tak się rozporządził—rzekł Herman, i bardzo dobrze zrobił...

Aktorka spojrzała na obwinionego, który nie mówił nic... ale też pocziwy Szerszeń niecierpliwymi migami Hermana wywoływać zaczął na stronę...

— Panie grafie, mości dobrodzieju, rzekł niby cicho—już i tak tego śmiecia dosyć się naniósł... a pół pieniędzy zostało...

— Ja o niczem wiedzieć nie chcę! odparł Herman... nie znam cię! I odszedł.

Stół okryty owocami, ciastkami, i kilka butelek wina, które Szerszeń przyniósł może raczej dla siebie i dla żony niż dla gości—wabił... głodnych... ale Viola tknąć nie chciała. Przykrém



jój było to przyjęcie cudze w ubogim domu, ten popis z dostatkiem wśród jój biedy...

Nie wiedziała komu to przypisać... ale była smutna...

— Zrobiłeś mi pan przykrość, panie Sylwanie, odezwała się—ja zwykle wieczoram kawalkiem chleba i sera... to nie dla mnie... jedzcie panowie mnie zawstydza ten zbytek...

— Przykrość pani robi spytał Herman... seryo?

— Bardzo wielką—odezwała się Viola.

— Sylwan więc zgrzeszył, ale trzeba złe naprawić...

To mówiąc zgarnął ze stołu wszystko razem w serwetę, otworzył okno, wyrzucił preż, zamknął znowu i siadł spokojny na krzeselku...

— Pani w domu jesteś jeszcze bardziej uroczą, zachwycającą niż na scenie, począł żywo... aby go kto ze słowem nie uprzedził... Bałem się, by w pani nie znaleźć tu nawet artystki...

— Tu jest sierota uboga... która od szóstego roku życia występuje na scenie... odpowiedziała Viola—a ma już życia i sceny za wiele!

— To coś tragedią czuć—rozśmiał się Herman... ja komedię wolę... bardziej ludzką jest rzeczą.

— A komu los tragedię narzuci? wtrącił Sylwan.

— Los daje materyał—mówił Herman: nam go zawsze wolno sobie nawet na farsę przerobić.

Viola rozśmiała się—Herman był uszczęśliwiony tym tryumfem i puścił się w paplaninę swą zwykłą, w której odrzmiewał ulubiony mu Heine i dzwoniły po troszę błazeńskie młodości dzwonki jak u czapki trefnisia... Sylwan obok tego fajerwerku słów, ledwie mogący wtrącić wyraz jaki wydawał się dziwnie zimnym... Herman chciał go do siebie nastroić—próżno...

Scena ta improwizowana, która nie bardzo zabawiła Sylwana, ale dosyć potrafiła rozerwać Violę... trwałaby była może za długo, gdyby troskliwy Szerszeń nie przyszedł do ucha Sylwanowi powiedzieć tak, że na cały pokój słychać było:

— Szlibyście moi dobrodzieju, grafy i nie grafy, spać—toć to noc, panienska zmęczona, a co sobie o nas ludzie w domu pomysła, słysząc do późna śmiechy... nie licząc tego co przez okno poleciało... Idźcie bo spać!

Sylwan wziął za rękę brata:—Chodźmy!—ale Herman podstąpił ku weselszej nieco gospodyni.

— Nie mogę ztąd odejść, nie wynurzywszy pani mojej wdzięczności naprzód—a potem... nie zaniósłszy prosby do niej abyś mi dozwoliła czasem złożyć jój tu...

— O! nigdy! nigdy! przepraszam, ja nikogo nie przyjmuję żywo oparła się Viola.

— Panienska nigdy nie przyjmuje... potwierdził Szerszeń...

— A mego brata? proszę więc tylko o to bym z bratem mógł czasem służyć pani, i trochę ją pośmieszyć. Grając ciągle tragedye, nie zawadzi takiego jak ja komika mieć pod ręką dla wypoczynku.

Viola skłoniła się nie nie mówiąc...

Wychodzili—Szerszeń zgarbiony idąc za nimi zupełnie przypominał podwórzowego stróża, który szczekaniem odprowadza za dziedziniec obcych ludzi.

Gdy się znaleźli w ulicy Herman począł ścisnąć Sylwana...

— Czego ty jesteś tak, piekielnie nieuleczone, zabijająco smutny? zawołał.

— Gdybyś ty mi powiedział dla czegoś tak wesół?...

— Zagadnałeś mnie fatalnie—rzekł Herman; zdaje się że twój smutek a moja wesołość z je-

dnego pochodzą źródła... ja żartuję ze świata, a ty nad nim płaczesz... *cela revient au même*, świat głupi...

— Gdyby nie był złym! dodał Sylwan...

— To na jedno wychodzi? rzekł Herman. Zdaje mi się wszakże, iż ja lżej niosę „brzemie” życia niż ty...

— Boś zaprzężony w złotym chomonce—dodał brat...

— Zdaje mi się jednak, poważniejąc rzekł Herman, iż ja od ciebie bliższy jestem prawdy. Świata zbyt tragicznie brać nie można... Farsą jest! Gdybyś posłuchał był rozmowy mojej z Lubiechem, który mi czyni ten zaszczyt że ma zostać moim ojezmem! Gdybyś codziennie posłuchał poważnych bardzo rozpraw o moralności ludzi, których ja znam życie pokątne... gdybyś—gdybyś... tobys się za boki musiał brać z tej farsy... Ja tego na seryo wziąć nie umiem... Słabości serca, słabości głowy... słabości ducha... słabości charakteru... słabości bez końca... a siły? nigdzie. Przepraszam cię Sylwanie, dodał—nie ma jój nawet w tobie co masz olbrzyma postawę i fizys, a od ukłócia szpilką cierpisz jak mucha na wskroś przebita.

— Ja? przerwał Sylwan...

— A ty—mówił Herman—ty! ja wiem wszystko co w tobie siedzi...

— Nie wszystko!

— Przepraszam cię, nawet to, co w tobie siedzieć może... lada dzień...

— Jakto? podechwycił zdziwiony Sylwan... to co mi grozi? ty o tym wiesz?—jest to więc tak powszechnie już znane?

— A ty! wiesz także co ci grozi? równie zdziwiony zawołał Herman—jakże to może być? zrozumiemy się. Szedłem do ciebie, aby przestrzedz właśnie o osnutym planie przez pewną kongregację, aby cię ztąd jako bezbożnika niebezpiecznego usunięto... O tym nie wiesz?

— Owszem, wiem o planie, a nawet—dorzucił Sylwan, zdaje się że musiał on już dojrzeć do wykonania, bo... pewne wstępne kroki są poczynione.

— Cóż ty myślisz? spytał Herman...

— Nie wiem nie jeszcze—ścisnąc brata rzekł Sylwan; to wiem że w tej chwili ciebie kocham, nie jako brata ze krwi ale jako brata z ducha... bo się oburzasz na złe, boś szlachetny... Hermanie mój... żartuj, sztydź... ale nie daj się popsuć...

— Wiesz... trudno mi zaręczyć za siebie—począł Herman smutnie—są chwile we mnie szatańskie, są porywy bohaterskie... Koniec końców, albo ja wiem czém jestem? Upaja mnie wino, wzrok kobiety, zbytek, silna fantazyja... rzadkom trzeźwy! a po trzeźwemu nudny jestem taki, że sam sobą się brzydzę...

— Dziecko! rozśmiał się Sylwan.

— Mówmy o tobie—kończył hrahia—co ty myślisz?

— Mnie tu już nic, niestety! nie trzyma—odezwał się brat—jeśli wiadomości o wygnaniu się potwierdzą, a spodziewam się mieć je zawczasu, czekać nie będę przymusu, wyjadę sam... gdziekolwiek bądź... wszystko mi jedno...

— Więc twoje nadzieje?..

— Niewielem ich miał, a te jakie miałem... stracone...

Mówiąc tak doszli do furtki mieszkania i bracia pożegnali się z sobą. Herman ręce włożywszy w kieszenie powlókł się ziewając do domu. Po drodze... rozmyślającemu o marnościach świata tego nastreczyły się okna restauracji w której tak wspaniałą wydał był ucztę przyjacielom znanym i nieznanym. Świeciło się w nich rzesisto.

Herman wspiał się, wlaź na okno, tak aby nisko rozpiętą firankę wyminąć, stanął na niem i począł się wewnątrz przypatrywać...

Był to bankiet ortodoksów... a u stołu tyle znajomych twarzy rozpromienionych winem i ja-dłem... Właśnie Dołęga podnosił kielich w górę

— Panowie, mówił—jeszcze jedno zdrowie:

Kochajmy się...

Okrzyk powitał toast... wzniesiony właśnie przez tego, który niedawno jak Judasz sprzedawał brata za trzydzieści uśmiechów i trzydzieści obietnic łaski...

Hermanowi gorzko się zrobiło i ironiczny uśmiech przebiegł mu po ustach... Założywszy ręce, stał na oknie i patrzył...

Ktoś z biesiadników podniosłszy oczy przez szyby zobaczył tego upiora, i krzyknął... Dołęga rzucił się do okna szybko... Herman nie ustąpił kroku... czekał...

Gdy impetycznie otwarto je—zdjął kapelusze i z najzimniejszą krwią odezwał się:

— Przepraszam—chciałem życzyć dobrej nocy!

Niezmierznie się to podochoconym podobało... bo Hermana posyłano prosić na ten *szmaus*, ale zaproszenie się z nim rozminęło, był więc pożą-dany wielce... Lubicz go szczególnieji ciągnął... Herman nigdy w takich wypadkach nie odmawiał... wskoczył do sali i zajął miejsce przy stole obok Olesia, którego twarz świeciła transpiracją i szczęściem... kroplisty pot okrywał miłe jego oblicze... Począł ścisnąć ręce hrabiego z uczuciem, w którego gorącości poznał Herman starego burgunda...

— Zkądżeś ty się tu wziął? zapytał śmiejący się Dołęga... jak?

(d. c. n.)

## BIBLIOGRAFIA.

Monografia historyczno-genealogiczna niektórych rodzin polskich, przez Stan. Kaz. Kossakowskiego z przypisami Jul. Bleszczyńskiego. Tom III, str. 294, CIV i 113. Warszawa 1872.

Dwa pierwsze tomy tego arcy pracowitego dzieła, obejmujące historję stu kilkunastu rodzin szlacheckich polskich, wyszły w latach 1859 i 1860. Tom obecny, prócz uzupełnień zawierający monografie historyczne Sapienhów, Skarbków, Sobieskich Janinów, Sołtyków Szembeków i niektórych innych był już gotów przed dziesięciu laty i tylko ckoliecznościom zawdzięcza tak późne ukazanie się na półkach księgarskich. Tom ten znacznie większy od poprzedzających, nie zaokrągla jeszcze całości wydawnictwa; w zapowiedzi bowiem na końcu tomu drugiego widzimy, że zamierzano w dalszym ciągu zawrzeć krytyczne monografie Toporczyków, Tyszkiewiczów, Walewskich Wejsenhofów, Wołowiczów, Woronieckich, Wojniłowiczów, Zamojskich, Zawiszów, oraz rozprawę o heraldyce polskiej i legendach herbowych, czego tutaj nie znajdujemy. Śmierć jednego ze współautorów J. Bleszczyńskiego niezawodnie szkodliwie wpłynęła na dalszy bieg pracy. Z przedmowy się jednak dowiadujemy, iż na materyałach do dalszego wydawnictwa nie zbywa, oraz że Stanisław hr. Kossakowski „nie traci nadziei, że kiedyś uzupełnić tę ulubioną pracę będzie w możności.”

Tyle o stronie zewnętrznej „Monografij historyczno-genealogicznych;” co do ich wartości wewnętrznej, dość powiedzieć, iż jest to pierwsza rzeczywiście krytyczna praca nad historją we-



wnętrzną rodzin szlacheckich, bez której historya ogólna kraju nie może być w zupełności wyświeconą. Nigdzie może ciemnota, przesąd, zarozumiałość i zła wiara tyle i tak otwarcie nie broiły, ile w wywodach rodzin szlacheckich i ich splendorów. Nie mówiąc już o kazaniach pogrzebowych, panegirykach i dedykacjach, przeprowadzonych wywodami genealogicznymi od Palemonów, Karolów Wielkich i rycerzów krzyżowych całego świata, sami heraldycy specjaliści tyle u nas mimowolnie i dobrowolnie grzeszyli, że na wołowej skórze zmięściły tego nie zdołano. Sława przedajności Paprockiego doszła aż do naszych czasów; najzupełniejszy po nim Niesiecki nie ma na imieniu swém skazy, ale jako jezuita powodował się nieraz stronnością względem dobroczyńców zakonu, a przytém był pod naciskiem formalnego przesładowania, którespołykało poprzedników, a i jemu otwarcie groziło. Paprocki pomimo swojej giętkości, pomimo powtarzania przy każdym herbie, że „jest jeszcze wielu innych znakomitych o których on wiedzieć nie może,” narobił sobie co niemiara nieprzyjaciół. Rozmaite pojedyncze karty jego księgi przedrukowywano dla zamieszczenia opuszczonych nazwisk i świetnych czynów, tak dalece, że prawie niepodobna dziś wiedzieć jaki był w istocie pierwotny egzemplarz jego dzieła. Piszący te słowa miał w ręku korespondencję Niesieckiego z Radziwiłłami, z której nie trudno wywnioskować, jak go pojono żółcią i octem za to, że pocieszne sprzeczności płatnych a niezdarnych genealogistów starał się rozumem przenikać. Ale co mówić, o dawnych kiedy w niedawnej edycji lipskiej Niesieckiego tyle się znalazło „uzupełnień,” mogących rywalizować z podaniami Paprockiego o herbie Noego i Izdy! Przecież choćby częstkę tego lasu niewiadomości i fałszu, oświecić go pochođnią krytyki, wytrzebić siekierą zdrowego rozsądku, zasadzić natomiast fakta z niewątpliwych źródeł historycznych wydobyte,—była to dla autorów *Monografij* praca nielada, z której się jednak sumiennie i umiejętnie wywiązali.

Poprzedników prawie całkiem nie mieli, z wyjątkiem kilku lub kilkunastu życiorysów znakomitości krajowych, pisanych według wymagań krytyki historycznej, dalej szacownych prac Stadnickiego, oraz ogólnego rzutu oka na rozwój instytucji szlacheckiej i dostojniczej, skreślonego przez Lelewela w tomie pierwszym nowego wydania Niesieckiego. Potrzeba było zbierać informacje w książkach traktujących o najrozmaitszych przedmiotach, w aktach kościelnych, dokumentach prywatnych, anadewszystko w nieprzebranej skarbnicy archiwum głównego w Warszawie, z którego Błeszczyński pełnemi garściami czerpał do swoich przypisków. Jak dalece po takiej kwerendzie prawda historyczna okazywała się różną od prawdy heraldycznej, dość przeczytać w obecnym tomie genealogię Sapiechów lub Sobieskich. Tych ostatnich rodzinę już królewską, w genealogii mającej uchođzić za urzędową i do akt zapisaną, wyprowadzano ani mniej ani więcej tylko od Lecha „pierwszego monarchy polskiego żyjącego na 470 lat przed Chrystusem.” Kossakowski i Błeszczyński na zasadzie wynalezionych przez siebie do-

kumentów posunęli genealogię tego domu o dwa pokolenia dalej niż Paprocki, ale przodkiem się okazał ubogi szlachetka z Lubelskiego. Tak i z wielu innymi w *Monografiach*. Nie widzimy tylko dostatecznego powodu, dla czego w podobny sposób nie postąpiono w tym tomie z wywodem „przedhistorycznym” Szembeków, rycerzy „pasowanych” przez Karola W. zeszyłych na sławetnych rajców krakowskich. Dobrze zasłużonej sławie tej rodziny wcaleby przez to nie ubliżono, że nie z pięknie malowanej genealogii, ale z cnoty i zasługi w sprawie publicznej wyrosła. Wiadomość o synach Narymunta Gedyminowicza Aleksandrze i Patrycyu, tak tutaj na początku tomu III jak i w dziele Stadnickiego, należałoby uzupełnić szczegółami dziś znanymi, że siedzieli na Zwinogródce i spiskowali przeciw książętom litewskim ze Świdrygiellą. Na str. 193 tegoż tomu należy sprostować twierdzenie, że nie mamy dotąd przekładu Opisu wojny chochimskiej Jakóba Sobieskiego: przekład tego dzieła dokonany przez Kondratowicza wyszedł przed ośmnastu laty w Petersburgu. Te wszakże i inne pomniejsze usterki nie uszczuplają nie

pospolitego znaczenia *Monografij* jako materiału niezbędnego dla historyka Polski.

Każdy też historyk wdzięczny będzie pamięci Błeszczyńskiego za dołączenie do tomu III-go spis senatorów i dygnitarzy koronnych z XVIII w., mozołnie zebrany z metryki Koronnej, Sygillat, Voluminów Legum i t. p. dokumentów autentycznych. Uzupełnia to spisy Niesieckiego i Bartoszewicza drukowane w „Bibliotece Warszawskiej.” Za pomocą takich spisów najłatwiej dają się łowić na uczynku fałszerze dokumentów; badaczom zaś historycznym mającym je pod ręką, ujmują się trudu w wyszukiwaniu nazwisk osób, wymienianych tylko z tytułu w dyaryuszach sejmowych, pamiętnikach i t. p. W ogóle według oświadczenia hr. Kossakowskiego w przedmowie, „materiały do tego tomu zebrane zostały wyłączeniem staraniem s. p. Juliana Błeszczyńskiego.” Hr. Kossakowski i współuprzedca jego Włodz. hr. Plater, dochód ze sprzedaży tej książki przeznaczyli na rzecz pozostałych po Błeszczyńskim wdowy i sierot, „jako właściwie do nich należący.”

#### Nakładem S. LEWENTALA w Warszawie wychodzą następujące publikacje:

**KŁOSY**, Czasopismo illustrowane tygodniowe, poświęcone nauce, literaturze i sztuce. — Cena w Warszawie: rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół; w Cesarstwie oraz na Prowincyi i w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.

**TYGODNIK ROMANSÓW I POWIEŚCI**, zawierający w każdym Numerze dwie powieści: jedną oryginalną, drugą tłumaczoną. W stosunku do objętości, jest to najtańsze pismo polskie. Cena w Warszawie: rocznie rs. 3, półrocznie rs. 1 kop. 50, kwartalnie kop. 75; — w Cesarstwie i na prowincyi w Królestwie: rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.

**ALBUM JANA MATEJKI**, (które wyjdzie z końcem r. 1873). Edycja przepyszna, w wielkim arkuszowym formacie, na pięknym welinie, zawierająca około 100 rycin na drzewie, własnoręcznie przez genialnego naszego artystę rysowanych. Cena dla osób prenumerujących Kłosa lub Tygodnik Romansów i Powieści w Warszawie rs. 5, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową rs. 6. Prenumerata przyjmuje się tylko do 1 maja 1873 roku i może być składana w dwóch równych ratach, jedna najpóźniej do 1 maja, druga przy odbiorze Albumu. Po 1 maja cena podwyższoną będzie o rs. 2 kop. 50 na każdym egzemplarzu. Nieprenumerujący Kłosa lub Tygodnika Romansów i Powieści, płacą do 1 maja w 2ch ratach w Warszawie rs. 7 kop. 50, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie wraz z przesyłką pocztową rs. 8 kop. 50, po 1 maja płacić będą w Warszawie rs. 10, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie rs. 11.

**DZIEŁA JOZEFA KORZENIOWSKIEGO**. Wydanie zupełne, pod kierunkiem Redakcyi Kłosa, wszystkich prac znakomitego naszego pisarza. Całkowita edycja składać się będzie z 10-ciu tomów, z których dotychczas wyszły 8 tomów, zawierają kilkadziesiąt tomów edycji dawniejszych. Cena każdego tomu dla prenumeratorów Kłosa lub Tygodnika Romansów i Powieści, ustanowioną została w Warszawie po rs. 1, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie wraz z przesyłką pocztową po rs. 1 kop. 10; w razie gdyby liczba 10 tomów okazała się niedostateczną dla pomieszczenia wszystkich prac, dalsza tych dzieł publikacja dostarczona będzie prenumeratorom bezpłatnie. Nieprenumerujący Kłosa lub Tygodnika Romansów i Powieści płacą w Warszawie za każdy tom po rs. 2, bez względu na ilość mogących się okazać tomów, w Cesarstwie zaś i na Prowincyi w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową, po rs. 2 kop. 20. Cała przeto edycja dzieł Korzeniowskiego kosztować będzie Prenumeratorów Kłosa lub Tygodnika Romansów i Powieści w Warszawie rs. 10, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie wraz z przesyłką pocztową rs. 11. Przywilej ten służy tylko do 1 lipca 1873 r.

Przy tej sposobności mam zaszczyt powiadomić Szanownych Czytelników pism moich, że zawarłem układ z Wydawcami **ENCYKLOPEDIY Powszechnej** w 8-miu **TOMACH**, mocą którego jestem w możności prenumeratorem Kłosa lub Tygodnika Romansów i Powieści ustąpić takową za pół ceny to jest: w Warszawie po 1 rublu za tom, w Cesarstwie i na Prowincyi w Królestwie, wraz z przesyłką pocztową, po rs. 1 kop. 25. Tomów będzie 8; cała więc Encyklopedia kosztować będzie w Warszawie rs. 8, z przesyłką zaś pocztową rs. 10. — Dotychczas wyszły dwa tomy nabyć można według wyżej podanej normy.

Wszelkie korespondencje pieniężne adresować należy do Kantoru S. Lewentala, ulica Wiodok N. 1566a. Bilety starego stempla przyjmują się tylko do 31 grudnia r. b. S. Lewental.

**Treść:** Stosunki domowe i społeczne w XIII wieku, W. Chomentowskiego. — Korespondencja z Berlina. — Fornarina. — Ramułowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Bibliografia. — Ogłoszenie. — **Ryciny:** Sen wodnych ptaków. — Rafael i Fornarina. —

**Wydawca,** HIPOLIT ORGELBRAND.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 (23) Декабря 1872 г.

**Redaktor,** MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20